

Od autora: Każdy z Was zna pojęcie "sklerozy", lecz czasem ciężko przewidzieć, co z niej tak naprawdę może wyniknąć. O tym to opowiadanie. Zapraszam do wspólnej zabawy :)

W.W. poświęcam...

Wielu ludzi narzeka z powodu słabej pamięci.

Nawet przez chwilę w to nie wątpię i rozumiem tych wszystkich biedaków, których miliony zamieszkują licznie każdy kraj tego globu, od Europy po daleką Australię.

Na pewno nieraz słyszeliście, jak jęczą i użalają się nad sobą, jakby na świecie nie było gorszych i bardziej uciążliwych dolegliwości, trapiących od stuleci ludzkość.

Stękaają boleśnie i pokrywają luki pamięciowe naprędce wymyślonymi historiami.

Zjawisko to ma niestety tendencję wzrostową i wyjątkowy apetyt na ciągłą ekspansję.

Słowo *skleroza* stało się dziś tak potoczne i z lubością wypowiedane, zwłaszcza pod adresem tych, którym chce się dokuczyć, jak „dzień dobry” czy „miłego dnia życzę” i jest od lat na ustach milionów, jako synonim czegoś, co nie boli, lecz potrafi nieźle uprzykrzyć życie.

Ten i ów biadoli zawzięcie nad tym, że nie pamięta, kiedy była bitwa pod Waterloo lub choćby daty urodzin własnej matki, nie wspominając już o nagłym zaniku pamięci odnośnie rzeczy z gruntu prozaicznych, jak zamknięcie drzwi czy umycie zębów przed snem. Twierdzą, że z biegiem lat zdolność przypominania sobie faktów i ludzi jakoś podejrzenie się osłabiła i uległa niepokojącemu przytępieniu, które bez wahania nazwałbym szumnie uwiędnięciem tych czynności umysłowych, które niegdyś były idealne i cieszyły swą sprawnością, by stopniowo i nieodwracalnie pogрузić się w narastającą podstępnie niemoc i w końcu dać efekt końcowy, zwany ową *sklerozą*, niezwykłą, lecz chroniczną i wciąż galopującą.

Od jakiegoś czasu na owym ognistym i nieprzewidywalnym koniu, którego grzbiet bywał niezdolnie przykry, podskakiwał nerwowo i nie do końca w komfortowy dla siebie sposób, pewien lekarz z małego miasteczka, w którym niewiele się działo i może dlatego nikt nie musiał wysilać swej szanownej pamięci, aby spaść cokolwiek, bo rzecz wiadoma, nie było co...

Pamiętać nie każdy potrafi, nie każdemu to po latach przyjdzie tak łatwo, jak w młodości lub choćby w wieku średnim – okresie najbardziej zdradzieckim dla zdrowia i ducha.

Pamiętać nie jest rzeczą tak prostą jakby się wydawać mogło!

Nasz lekarz, Billy Twomp z TYCH Twompów, wiedział o tym najlepiej.

Mógłby o owym niebolesnym, lecz jakże utrudniającym żywot problemie, napisać książkę.

Kąsał go on bowiem jak wściekły pies, który tarmosząc bezmyślnie mocno uwrażliwione na ból kostki

nóg, narażał na ciągle urazy, przykrości i tzw. „wpadki”, o których będzie jeszcze mowa, i bez którego życie mogłoby być wcale znośne i świadomie przeżywane, bez owych luk pamięciowych i nieudolnych prób tuszowania ich szybko opracowywanym planem awaryjnym w postaci steku bzdur, mających zastąpić prawdę, lub co gorsza, być nią.

Śpieszę nadmienić, iż sprawy nie wyglądały jak za starych, dobrych czasów.

Wyglądały podle, marnie wprost. Billy Twomp zmagał się z nie lada koszmarem.

Pamięć, w jego przypadku, była czymś, co należałoby nazwać najbezpieczniej, odległym wspomnieniem, które wypływało jak kolorowa koszula na zbyt mocnym słońcu.

Istniała już inna pamięć, zrodzona na zgliszczach tej wrodzonej – pamięć o tym, że się kiedyś miało pamięć.

Billy Twomp zatracił z wolna tę boską i ludzką zarazem umiejętność – biegłość w pamiętaniu i przypominaniu sobie tego, co było, a co obecnie jawiło się już tylko jako dawny, odległy sen sprzed wielu lat i napawało niepokojem o przyszłość, która, jeśli ma mieć wymiar „wędrowki po omacku w krainie *sklerozy*”, to doprawdy należy się tego poważnie obawiać i mieć oczy szeroko otwarte, głowę dookoła szyi i zmysły wyczulone. Skoro nie ma się do końca wglądu w to, czego się doświadcza, to następnego dnia rano można nie pamiętać wydarzeń wieczornych, i tego wszystkiego, co było, mogło być, lub wręcz definitywnie po drodze wydarzyło się.

Czasem jakiś pacjent wracał z buraczanym rumieńcem na twarzy do gabinetu, ze zdrowym i naturalnym zdziwieniem w oczach, zziąjany i wyraźnie zmieszany, że zamiast leku na anginę dostał niespodziewanie jakiś radykalny środek na przeczyszczenie, innym razem ktoś potężnie trawiony żarem zgagi otrzymywał ni stąd, ni zowąd preparat na... robaki, bywało także, że zmordowany dyskomfortem, jaki niewątpliwie wywołują hemoroidy pacjent opuszczał borykającego się z niemocą pamięciową lekarza, zaopatrzony w receptę, która... nawet nie została jeszcze wypisana!

Takie przypadki często miały miejsce i nie skłamię, jeśli powiem, że choć raz w tygodniu ktoś padał ofiarą problemów pamięciowych szanowanego pomimo wszystko, Billy’ego Twompa, lekarza lubianego przez ogół mieszkańców miasteczka niezmiennie od lat wielu, lecz podejrzewanego także o jakiś niespotykany i niezrozumiały rodzaj „roztargnienia i rozkojarzenia”, na który powszechnie przymykano oko. Zjawisko to często towarzyszy tej profesji, zwłaszcza w przypadku wybitnych indywidualności, które poprzez swą wrodzoną i niezaprzeczalną charyzmę, innymi być nie potrafią, nie są w stanie i nigdy nie będą. Chcąc pomóc każdemu, kto po pomoc się zgłasza (czyżby swoista podzielność uwagi?), niekiedy miewają tęgie problemy z koncentracją, skupieniem uwagi i zachowywaniem zimnej krwi, która często bywa mylnie kojarzona z jedną z pożądanых cech tzw. dobrego lekarza – „*kogoś, kto wie, o co w tym wszystkim tak naprawdę chodzi*”, będąc jawnym zaprzeczeniem „gonitwy myśli”, którą z kolei postrzega się potocznie jako objaw niezrównoważenia umysłu i nazbyt euforycznego nastroju.

- Panie doktorze, ale pacjenci czekają już od godziny! Jedna pani powiedziała, że zaraz zemdleje, jeśli pan jej szybko nie przyjmie... To może nastąpić w każdej chwili! Zdaje się, że już jest gotowa to uczynić! O Boże, żeby się tylko bardzo nie poobijała... - ileż to razy musiała te gorzkie słowa, pełne pretensji i żalu, wypowiadać któraś z pielęgniarek, widząc, że Billy Twomp po raz kolejny spóźnił się do pracy (w jego pojęciu, oczywiście, był na czas).

- Panie doktorze, ale obiecał pan odwiedzić mojego chorego wujka wczoraj wieczorem. Mój wujek jest dziś jeszcze bardziej chory niż był, kiedy na pana czekał. Kupił nawet butelkę dobrego wina i założył swój najlepszy garnitur z 1963 roku. Przepraszam z góry, ale gdzieś zapodziała się jego peruka... - jęknęła

nagle półgłosem szatniarka, widząc, że Billy Twomp wkracza zamaszystym krokiem do przychodni.

- Panie doktorze, ale chyba zapomniał pan o tym, że miesiąc temu dał mi pan słowo, że nasza wnuczka będzie mogła liczyć na pana „względy”, jeśli chodzi o te badania wymagane od przyszłych stewardes. Mam nadzieję, że już pan nie pamięta, że ma lekkiego zeza i wrodzone nadciśnienie. Oczywiście, o okazjonalnym jękaniu się zapomnijmy od razu – to nerwowe dziecko. Na pewno nie zwróciłby pan na to nawet uwagi. Ja w jej wieku miałam nieświeży oddech i pomimo to zrobiłam doktorat z fizyki jądrowej, nie mówiąc już o zamążpójściu.

- Tak, tak. Wiem o tym, PAMIĘTAM! Wszystko jest pod kontrolą. Zalecam spokój – odpowiadał niezmiennie zapominałski lekarz i robił swoje, nie bacząc na głosy pełne ukrytej pretensji i umiejętnie skrywanego niezadowolenia, do których przez te wszystkie lata zdążył się już przyzwyczaić. Podobnie do wyrazu twarzy swego przełożonego, pana Rocha Bombki, emigranta z Polski, który kilka razy w roku zapraszał go wielce delikatnymi słowy, niemalże jak swą oblubienicę na randkę w świetle księżyca, na tzw. dywanik, i którego słowa były dlań jak letni deszcz, dawno zapomniany śnieg (najlepiej zeszłoroczny) lub chociażby niewiele mówiący szelest liści albo nawet szelest wszystkich liści tego świata, we wszystkich krajach i na wszystkich kontynentach, dorzuciwszy doń usypiający szum sosen, świerków i modrzewi.

- Tak, tak. PAMIĘTAM... - brzmiała wciąż ta sama, grzeczna odpowiedź, wypowiedziana głosem pełnym dostojnego spokoju, który rodzi się zawsze tam, gdzie w grę wchodzi prawda absolutna. – PAMIĘTAM... Mogę pana o tym zapewnić i tym samym uspokoić. Wszystko jest pod kontrolą!

Promienny uśmiech pana Rocha Bombki tradycyjnie kończył ową rozmowę służbową, po czym w niedługim czasie wszystko wracało do poprzedniego stanu rzeczy, czyli permanentnego zapominania o tym, że trzeba w życiu o czymś pamiętać, aby tego nie zapomnieć.

Przytoczę tu pewien incydent, który nieco wstrząsnął jedną z pacjentek, starszą panią o nazwisku dla historii naszej nieistotnym, i przypisał ją o gwałtowny wzrost ciśnienia tętniczego.

Było tak:

Tego dnia, o dziwo, nasz ekscentryczny lekarz zjawił się w przychodni podejrzenie punktualnie, czym zadziwił wszystkich, tzn. personel medyczny w postaci pielęgniarek oraz sporą grupkę chorych, oczekujących w nerwowym napięciu od wczesnych godzin porannych pod jego gabinetem jak na zbawienie, które, jak widać, miało za chwilę nadejść, i od samego początku dał się wyczuć doskonały nastrój przybyłego, który powitał zebranych gromkim „ahoj”, po czym zabrawszy klucze, krokiem zdecydowanym i pewnym otworzył swój gabinet i natychmiast głosem niosącym dobrą nowinę, tudzież prawdę absolutną, krzyknął:

- Kto z państwa pierwszy? Zapraszam!

Teraz mała dygresja okołotematyczna:

Drogi czytelniku, słuchaj zatem!

Jako że Billy Twomp mieszkał niedaleko swego miejsca pracy (może właśnie dlatego notorycznie się spóźniał, a może po prostu zapominał pamiętać), był w zwyczaju docierać doń w najlepszym stylu, gwołi ścisłości, mieszanym, który bez wahania nazwałbym „majestatyczno-sprinterskim” na profesjonalnym rowerze marki *Winnetou*, model sportowy, koła wąskie, siodełko miękkie, o cenie lepiej nie wspominajmy. Był wszak pasjonatem kolarstwa i ów sport uprawiał czynnie od dzieciństwa, co należało poczytać mu za wielki plus i co nakazywało także mniemać, iż do późnej starości ten stan rzeczy się utrzyma i miłość do rowerów nie przeminie tak bezpowrotnie, jak nieszczęsna pamięć, która szwankować zaczynała coraz bardziej i bardziej.

Pora była ciepła, letnia, co tym wysoce zachęcało naszego lekarza do korzystania z takiego, a nie innego środka transportu, który miał w owych miesiącach zwyczaj wnosić i przez cały dzień pracy trzymać nigdzie indziej jak... w swym gabinecie!

Tego dnia nie było wyjątku – Billy Twomp w stroju kolarskim w kolorach wiosny, jaskrawych i nieco kłujących w oczy (zawsze tak się ubierał w porach ciepłych i słonecznych) z rowerem w dłoni przepa-
radował przed nosami zebranych pod drzwiami do jego „królestwa” pacjentów, którzy znali już ten widok oraz niezwykle zwyczaje swego lekarza, co z kolei sprawiało, że dawno temu przestali już dziwić się cze-
mukolwiek, po czym owym gromkim głosem starego praktyka i „*kogoś, kto zna się na tym wszystkim, jak nikt inny*”, zaprosił pierwszego z chorych do swego gabinetu.

Pech sprawił, że tą osobą okazała się starsza pani, o której wspominałem wcześniej, a którą z doktorem Twompem łączyło jedynie tzw. przedłużanie recept na leki, które brała od lat, co w jej imieniu robiła za-
zwyczaj jej córka, owego feralnego dnia przebywająca chwilowo za granicą i tym samym niebędąca w
stanie odebrać recept osobiście.

Ale nie o nie tylko chodziło: starsza pani chciała, aby po kilkuletniej przerwie w wizytach, które nie wy-
dawały jej się konieczne ze względu na brak jakichkolwiek dolegliwości bólowych oraz wszelkich in-
nych, doktor zbadał ją ogólnie i wysłuchał jej potencjalnych skarg zdrowotnych (urojonych czy praw-
dziwych – tego nie wie nikt) oraz innych opowieści, jakie zwykle serwują pacjenci swym lekarzom, w
chwili gdy ci milcząc, badają uważnie ich ciała.

Widok stroju doktora Twompa poważnie zaniepokoił ją aż do tego stopnia, iż nie omieszkała zapytać sie-
dzących pod gabinetem zebranych, czy to aby na pewno prawdziwy doktor.

Chór zgodnych głosów wnet potwierdził ochoczo tożsamość „radosnego kolarza”, co bynajmniej nie
uspokoilo owej pani – wręcz przeciwnie – nasiliło jej wewnętrzne obawy, co do osoby, która miała ją za
chwilę zbadać i wypowiedzieć się wiążąco jako autorytet w swej dziedzinie na temat aktualnego stanu jej
zdrowia.

- Ale parę lat temu on wyglądał... normalnie... - stęknęła przerażona starsza pani, spoglądając z lękiem
na klamkę w drzwiach, które lada moment trzeba będzie otworzyć.

- Pewnie była pani zimą. On zimą ubiera się inaczej - odparł natychmiast jakiś jegomość z potężnym, su-
miastym wąsem. – Wtedy przychodzi tu piechotą.

Po chwili rozległ się raz jeszcze donośny głos Billy Twompa:

- Zapraszam!

Starsza pani weszła.

Weszła i stanęła jak wryta.

Jedno spojrzenie na osobę lekarza sprawiło, że natychmiast odruchowo cofnęła się i już chciała wyjść,
gdy ten spokojnym, pozbawionym zbędnego skrępowania oraz fałszywego patosu głosem uspokoił jej
niepotrzebnie wzburzone nerwy:

- Przebieram się, ale niech pani mówi. O co chodzi? Zaraz będę gotów. No więc?

Zaiste, w owej chwili był jedynie w slipach i zegarku, co wysoce nadwyrężyło spokój ducha niespodzie-
wającej się zobaczyć coś podobnego pacjentki, która z wrażenia usiadła ciężko na krześle obok jego biur-
ka i zaczęła gardłowo dyszeć, wachlując się dłonią i miotając pełne oburzenia spojrzenia w jego kierunku.
On zaś, bez cienia zakłopotania, chodził sobie na bosaka po gabinecie w poszukiwaniu skarpetek, defi-
nitywnie gdzieś zagubionych, co oznaczało jednoznacznie, iż tego dnia w tej formie przyjmować będzie
swych pacjentów, których i tak nic już zadziwić nie mogło.

Ubrany w nienową, nieco już znoszoną koszulkę z napisem: ELVIS IS THE KING OF ROCK'N'ROLL i
tandetne spodnie koloru pomarańczowego, bez skarpetek oraz obuwia, z promiennym uśmiechem na
twarzy i ze zwalającym z nóg optymizmem w głosie, ponowił wnet rozmowę:

- No więc, co tam z panią? Coś boli, strzyka lub kłuje?
- Pan nie ma butów... - wydukała osłupiała pani.
- Widzę, że z wzrokiem nie najgorzej! – padła wesoła odpowiedź.
- Pan ma rower...
- Wielu ludzi ma rower.
- Pan ma go TU...
- To drogi sprzęt! Muszę mieć na niego cały czas, droga pani!
- Pan przed chwilą był prawie nagi...
- Chwileczkę! A slipy i zegarek to mało?
- Pan tu przyjechał w jakimś dziwnym kombinezonie...
- Mam rozumieć, ładnym kombinezonie, tak? Zrobił na pani niezatarte wrażenie? Jeśli tak, to z góry dziękuję!
- Pan krzyknął głośno „ahoj...”
- Czyż każdy z nas nie jest żeglarzem na oceanie nieprzeniknionego bytu i unoszony jego falami dryfuje sobie to tu, to tam?
- Pan jest kolarzem...
- Kim?
- Kolarzem...

Billy Twomp spojrzał na nią badawczo i rzekł głosem poważnym i głębokim:

- Primo: sport to zdrowie i polecam pani włączyć go do swego repertuaru rutynowych, domowo-zyciowych czynności. To może być prawdziwy przełom w pani życiu. Jeszcze nikomu nie zaszkodził, a pani może nawet pomoże? W zdrowym ciele zdrowy duch!

Secundo: jak to mówią: „*albo jesteś uczciwy, albo jesteś bogaty*”. Ja wybrałem to pierwsze. Nie dla mnie modne obecnie wśród ludzi młodych życiowe motto, do którego czuję niekłamany wstręt: „*zostań bogaty albo przynajmniej umrzyj próbując*” i dlatego pewnie nie stać mnie na dobry samochód, ale jest to dla mnie problem nikłej ważności i brak czterech kółek robi na mnie, mniej więcej, takie wrażenie, jak ruchy tektoniczne na Dalekim Wschodzie lub spadek pogłowia bydła w Argentynie w latach trzydziestych zeszłego stulecia. Moje dwa kółka to dla mnie optimum!

Tertio: jestem doktorem nauk medycznych i jako taki dziś tu z panią rozmawiam, zatem może zechce pani w końcu łaskawie wyłuszczyć mi powód swej wizyty, bo jeśli takowy nie istnieje, to nie marnujemy cennego czasu – tam czeka całkiem spora grupka osób, co do których zachodzi pewność, iż padli ofiarą przeróżnych chorób i dolegliwości. W innym wypadku byłiby teraz gdzie indziej. No więc? W czym tkwi problem? Słucham!

Starsza pani ponownie zaczęła niepokojąco dyszeć i łapać mozolnie powietrze otwartymi ustami, w których zawibrował przykro nabrzmiały język, po czym głośno stęknęła:

O ŚWIĘCI ANIELSCY, i siedząc dotąd na krześle obok biurka swego lekarza, osunęła się bezładnie na nie, lądując twarzą w talerzu z wczorajszymi kanapkami, których Billy Twomp zapewne nie zdążył z powodu natłoku pracy spożyć dnia poprzedniego... Jedna z kanapek została tym samym bezlitośnie zmiażdżona do tego stopnia, że trzy plasterki ogórka, spoczywające na niej uprzednio, przemieściły się nagle na blat stołu, znajdując swą przystań na karcie zdrowia owej damy, czego nie uczyniły trzy krążki cebuli, które pod naporem tak wielkiej siły wyskoczyły spod rozpląszczonej twarzy i spoczęły na leżącym obok stetoskopie.

- No co pani! – zawołał oburzony lekarz. - To moje śniadanie! Specjalny posiłek regeneracyjny, oparty na

dużej ilości protein! To jakieś żarty? Jakaś cepeliada?

Jednak wszystko wyraźnie wskazywało na to, że pani nie zemdląca, a jedynie doznała nagłego skoku ciśnienia tętniczego, co w jej przypadku może już wcześniej objawiało się, między innymi, histerycznym ładowaniem twarzy w talerzach lub innymi, nagłymi zmianami postawy ciała i jego normalnego, pionowego charakteru o cechach niedowładu, więc i tym razem doszło zapewne do niefortunnego zachwiania równowagi, w efekcie czego postawa z siedzącej zmieniła się nieoczekiwanie w półleżącą.

Niebawem w gabinecie była już jedna z pielęgniarek, dziewczę bystre i obrotne, która skutecznie odkleiła rozgniecioną kanapkę z policzka pacjentki i na jej ramieniu starsza pani opuściła „królestwo” swego lekarza, i zabrana została niezwłocznie do innego pomieszczenia, gdzie wkrótce zaaplikowano jej kropleki nasercowe oraz uspokajające, i gdy potem zmierzono ciśnienie, wnet okazało się, że doszło do jego gwałtownego skoku, z czym również sobie poradzono, dając szybko lek hipotensyjny.

Nie muszę chyba dodawać, że starsza pani nie ośmieliła się już kontynuować swej wizyty.

- Zapraszam! – głos Billy’ego Twompa jeszcze wiele razy radośnie rozbrzmiewał tego dnia w przychodni, lecz poza owym, feralnym „wypadkiem przy pracy”, nikt nie ucierpiał z powodu widoku bosonogiego doktora, jego roweru oraz kiczowatej kwiecistości jego odzienia.

Tego dnia nawet z pamięcią było wcale nie najgorzej. Może to zbawienny wpływ pogody – wszak pora wiosenno-letnia czyni cuda z ludzkimi organizmami, mózgami, nastrojami i szeroko rozumianą chęcią do życia. A może po prostu wszystko było pod kontrolą.

Śmiem twierdzić, że to, co nastąpiło później, jawnie temu przeczy...

Pamięć szwankowała jak dotąd, niekiedy dając złudne wrażenie „nagłych przebłysków” przedziwnej „regeneracji”, jednakże były to tylko chwilowe wzloty i krótkotrwały „powrót” do czasów świetności owej bezcennej, nieodzownej do normalnego funkcjonowania zdolności.

Któregoś dnia Billy Twomp pojawił się ponownie w gabinecie swego przełożonego, pana Rocha Bombki, który to oznajmił mu głosem radosnym i dalekim od pretensji i niezadowolenia, do którego mógł mieć podstawy, iż nadarza się niepowtarzalna okazja wyjazdu na kilkudniowe szkolenie do pewnej, nadmorskiej miejscowości, czego tematem miał być: *CHORY WYSOKIEGO RYZYKA SERCOWO-NACZYNIOWEGO – OD PREWENCJI DO POSTĘPOWANIA W RÓŻNYCH STANACH CHOROBYCH*, i na które to szkolenie on, jako szef placówki opieki zdrowotnej, postanowił wysłać właśnie jego w ramach obowiązkowego doszkalania się lekarzy.

Wyjazd miał być za dwa dni, czyli w sobotę, o godzinie 20:15, z dworca kolejowego, pociągiem klasy pierwszej, przedział dla niepalących, miejsce przy oknie.

Billy Twomp nie krył swego zadowolenia:

- Bardzo miło mnie pan tym zaskoczył, panie Rochu. Chętnie pojadę. Jak panu zapewne wiadomo, choroby krążenia zawsze były moim „konikiem...”

- Pamiętałem o tym i dlatego pana tam wysyłam. Proszę maksymalnie skorzystać z tego wyjazdu i wrócić do nas bogatszy o nowe, cenne dla społeczeństwa, informacje. I zapamiętać jak najwięcej, bo dobry lekarz, to ratunek dla wielu chorych i często ich ostatnia nadzieja.

Dwa dni dość szybko zleciały i nie muszę chyba nadmieniać, iż w sobotę czas dłużył mu się niemiłosiernie, dając złudne poczucie, że wcale nie biegł, zastygłszy w martwym bezruchu.

Nasz doktor spoglądał, co chwila na zegarek i od dawna spakowany i przygotowany do podróży, nie mógł już się jej doczekać – lubił bowiem jazdę pociągami, szkolenia i morze.

Gdy nadszedł w końcu czas, aby opuścić mieszkanie, poczuł ulgę i radość jednocześnie.

Szybko zamknął drzwi i ruszył w kierunku stacji.

Szedł szybko, zdecydowanym krokiem, tym samym, którym codziennie wkraczał do swego gabinetu, jakby chcąc tym samym przyspieszyć moment wyjazdu.

Stojąc później na peronie czuł narastające szczęście i przedziwną lekkość istnienia, jakby nagle wygrał na loterii grube miliony i w jednej chwili stał się panem świata.

Raz jeszcze spojrzął na zegar, wiszący na ścianie, i upewnił się, że za dziesięć minut odjedzie.

Po upływie tego czasu już jechał.

W przedziale był sam.

Poczuł się tam swobodnie, i wyciągnawszy z walizki małą butelkę brandy, pociągnął sobie z niej jak na prawdziwego pasażera przystało, delektując się jej smakiem i myśląc o tym, co go niebawem czeka. Za trzy godziny miał być na miejscu. To go cieszyło, bowiem zbyt długie podróże koleją nigdy nie były jego pasją i jako męczące i denerwujące zarazem, nie mogły być tym samym miłym i ciekawym doświadczeniem.

Ilekoć chciał wyjść z przedziału, zawsze zabierał ze sobą walizkę, aby przypadkiem nie zostać jej pozabawionym, bo to oznaczałoby kompletną klępkę i pokrzyżowanie planów.

W pociągu prawie nikogo nie było – tu i ówdzie jakieś wesoło rozmawiające małżeństwo, jakaś zapatrzona w okno matka z dzieckiem, zaczytany w gazecie człowiek w śmiesznym kapeluszu, ktoś śpiący na siedząco z szeroko otwartymi ustami, po których kroczyła dumnie czarna mucha.

Za którymś razem, kiedy właśnie wchodził do swego przedziału, dostrzegł konduktora, który akurat spokojnie szedł sobie dalej, jakby nie zależało mu wcale na sprawdzeniu jego biletu.

- Nie to nie! – powiedział do siebie i rozsiadł się wygodnie na kanapie.

Nawet nie zauważył, kiedy nieoczekiwanie zmorzył go nagły sen.

Spał dobre dwie godziny i spałby pewnie dalej, gdyby nie ostro prujący ciszę dźwięk hamulców i głos dochodzący z głośnika, że pociąg za chwilę dojedzie do stacji końcowej.

A więc podróż powoli kończyła się – jeszcze tylko kilka minut i poczuje jak pachnie zdrowe, morskie powietrze.

Jeszcze tylko kilka minut, kilka minut.

Gdy znalazł się już na korytarzu, spojrzął nagle mimochodem w okno i stanął jak wryty.

Pociąg właśnie leniwie wtaczał się na peron. Wystarczyło przeczytać nazwę miejscowości, aby poczuć, że zimny pot to jedna z oznak silnego wstrząsu.

Było to jakieś małe, nizinne miasteczko, szare i przytłaczające swą brzydotą.

Poczuł się wtedy, jakby go okradziono z wszystkiego. Już wiedział, że nie jest nad morzem.

Tego był święcie pewien. Może wcale tam nie jechał? Może wcale się tego nie spodziewał?

Może...

- Chwileczkę, przecież... - postawił walizkę na podłodze i szybkim ruchem sięgnął do kieszeni marynarki, gdzie spoczywał spokojnie bilet.

Wyjął go i przyjrzał mu się dokładnie, bardzo uważnie.

To przykre olśnienie nigdy nie powinno było mu się przytrafić.

Było jak kula, wystrzelona z pistoletu, która przeleciała tuż obok ucha i groza tej sytuacji przyćmiła na chwilę rozum, zalewając zimną falą lęku.

- Co to? Co to?

Patrzył w osłupieniu na własny bilet i... na godzinę, na którą został wystawiony.

Patrzył tak przez chwilę przerażony nie na żarty, jakby zobaczył nagle ducha Napoleona.

Zrozumiał, że ma problem, poważny problem – prosty zarazem.

Jeszcze sporo czasu dzieliło go od niej. Sporo minut. O tej porze powinna być już noc...

Wtedy pojął, że zapomniał spojrzeć na bilet w domu i upewnić się, o której tak naprawdę wyjeżdża.

Gdyby to uczynił, nie odkryłby wówczas, na korytarzu owego pociągu, że wsiadł doń nie o 20:15, a o 15:20.

Teraz już wiedział, jak nazwać swój problem. Prosty błąd, poważne następstwa.

- Pomyliłem pociągi... Pomyliłem pociągi... Lecz gdzie ja w ogóle jestem? Co to za dziura? Jak się stąd wyrwać, jak stąd dotrzeć nad morze?

Wtedy ujrzał peron i ruch ustał – nadszedł czas, aby wysiąść.

Wraz z innymi wysiadającymi ruszył w kierunku wyjścia, zdruzgotany tym, co niedawno odkrył, załamany i boleśnie uświadomiony przez życie, że z jego pamięcią jest naprawdę źle, wręcz fatalnie. Zawiodła go w najmniej oczekiwanym momencie w najbardziej nieoczekiwany sposób.

- Jak mogłem zapomnieć? Jak mogłem to przeoczyć?

Gdy schodził powoli po stopniach zejścia, podbiegło do niego nagle dwóch mężczyzn, niewyglądających zbyt przyjaźnie, i pokazawszy odznaki policyjne, w krótkich słowach oznajmiło mu, że jest aresztowany. Próbował się wyrwać, lecz oni nie należeli bynajmniej do cherlaków – jeden złapał go mocno od tyłu, podczas, gdy drugi błyskawicznie założył kajdanki.

- Ale za co? Za co? Co ja zrobiłem?

- Pan wie, co pan zrobił. Proszę nie udawać głupka. Od dziesięciu lat jest pan poszukiwany listem gończym pod zarzutem dwóch zabójstw i kilku oszustw. Rysopis się zgadza – wysoki, czarne wąsy, szary, lat około czterdziestu, szary garnitur, czerwony krawat. Mało? Nasi ludzie śledzili pana od stacji początkowej. Tam pana namierzyliśmy. Zabawa skończona! Zna pan swoje prawa? Może pan zachować milczenie.

W ostatnim akcie desperacji, a może nagłego przebłysku instynktu samozachowawczego, który lubi zmanifestować swe istnienie zwłaszcza w sytuacjach opresyjnych, Billy Twomp krzyknął na całe gardło, szarpiąc się jak dziki koń, którego ktoś próbuje dosiąść:

- Ale ja nie mam czarnych wąsów! Nie mam czarnych wąsów! Moje są rude! Przecież to chyba widać!

Wtedy dwaj mężczyźni spojrzeli na siebie dziwnie i w ich oczach pojawiło się nagle coś, co nazwałbym pewnie wątpliwością, lub czymś, co za minutę, bądź dwie mogłoby nią być.

Widać było, że osiągnęli porozumienie, choć nie padło nawet jedno słowo.

Jeden z nich powiedział:

- On ma rację. Te wąsy się nie zgadzają... Gdzie ma pan dokumenty?

- W kieszeni marynarki – odpowiedział ciężko dysząc lekarz.

- W której?

- W lewej.

- Spójrzmy zatem... - rzekł jeden z mężczyzn i już miał sięgnąć po nie, gdy wzrok oszołomionego i skołowanego „podejrzanego” padł nieopatrznie na jednego z pasażerów, który akurat wysiadał z pociągu...

Krew nagle uderzyła mu boleśnie do głowy, a zęby mimowolnie zacisnęły się w przypiływie wściekłości. Tego olśnienia potrzebował.

Olśnienie to było jak wybuch bomby.

- To on! To tamten facet! To jego szukacie! – krzyknął do nich, wskazując brodą wysokiego mężczyznę, ludzako podobnego do siebie jak dwie krople wody, tak samo ubranego, który szedł sobie spokojnie pero-

nem z walizką w dłoni, nie rozglądając się na boki, jakby nie chciał zwrócić na siebie czyjejkolwiek uwagi i jak najszybciej bezszelestnie ulotnić się.

Coś go wnet zdradziło. Coś uświadomiło obu mężczyznom, że popełnili błąd. Coś dało im pewność. Czasem w życiu jedna sekunda zmienia bieg historii...

BYŁY TO JEGO WĄSY – CZARNE JAK SMOŁA, GĘSTE WĄSY.

Wtedy jeden z nich, wiedząc już, co robić, szepnął cicho do Twompa, mrużąc znacząco oczy:

- Niech pan stoi tu spokojnie. Bez ruchu. Jakby nigdy nic, jasne?

- Jasne – odpowiedział bez namysłu niedawny „poszukiwany”.

Gdy wysoki mężczyzna z właściwymi wąsami mijał akurat policjantów, ci błyskawicznie rzucili się na niego jak lwy, powalając na ziemię. W trakcie szamotaniny z kieszeni spodni przestępca wypadł mały rewolwer i potoczył się po peronie.

Billy Twomp pomimo zakazu, podbiegł wtedy w mgnieniu oka w miejsce, gdzie leżała broń i chwycił ją oburącz, bowiem skutą był od przodu, co umożliwiło mu wykonanie tej czynności.

- Wstawaj, bo strzelałem! Ale to już! – wrzasnął na całe gardło w kierunku kłębówiska ciał i wtedy nagle walka ustała, jakby mężczyzn oblano kubłem lodowatej wody – obaj policjanci podnieśli się, a wraz z nimi ów tropiony przez nich, nietuzinkowy bandyta.

- To nie było konieczne. Dalibyśmy sobie z nim radę – rzekł z trudem, łapiąc ustami powietrze, jeden ze stróżów prawa. – Niech pan to odda. Już po wszystkim.

Kiedy już kajdanki przestały niemile uwierać nienarażane dotąd na przykre oddziaływania przeguby obu dłoni naszego doktora, padły decydujące, ważne dla sprawy słowa, przełomowe i istotne, niepozostawiające miejsca na nikłą bodaj wątpliwość, gdyż jej miejsce zajęła pewność, oparta na czystej logice.

Dla Billy’ego Twompa było to definitywnym i radosnym powrotem na łono ludzi uczciwych i pełnym oczyszczeniem z niedawnego „zarzutu”.

- Pamiętasz? – rzekł policjant do swego kolegi. – Ten gość nie ma prawej, górnej czwórki. Tak było w aktach. Jeśli to na sto procent ten, zaraz będziemy to wiedzieć. Niech pan otworzy usta – polecił stanowczo.

Początkowo mężczyzna się opierał, lecz nie trwało to długo.

Jego rozbiegane oczy zdradziły go jak ostatni oszust.

Posłuchał.

Wszystko się zgadzało – brakowało właściwego zęba...

- No to idziemy – rzucił mu tajniak. – Pan też z nami pójdzie. Trzeba złożyć zeznania.

- Ale ja muszę być dziś nad morzem! Mam tam szkolenie – jęknął lekarz z paniką w oczach.

- Dziś to już niemożliwe. Musimy pana przesłuchać na okoliczność zatrzymania tego tu, osobnika... Doścanie pan od nas coś w rodzaju „usprawiedliwienia” na piśmie. Sądzę, że nie będzie pan miał przez nas kłopotów.

- Już je mam - rzekł zrezygnowanym głosem Billy Twomp. – Chodźmy, skoro tak trzeba.

Na posterunku dostał ciepły obiad i gorącą kawę. Ktoś chętnie zaproponował mu papierosa, ktoś inny z wypiekami na twarzy pstryknął mu piękne zdjęcie, na którym wypadł jak grecki heros w okresie swych największych dokonań. Jakaś przyjazna dłoń poklepała go po ramieniu. Jakiś inny głos powiedział, że taki dzień zdarza się raz w życiu. Ktoś natychmiast odpowiedział, że niektórym nie zdarza się wcale. Takie życie, takie jego koleje.

Wokoło mówiono o nim.

Tylko o nim.

Obiecano podwieźć na dworzec, kiedy będzie wyjeżdżał. Jeden z policjantów miał dopilnować rezerwacji biletu.

Nie spodziewał się tego wcale – spodziewał się nudnego i męczącego przesłuchania.

Patrzył nieco zdziwiony tą niecodzienną „gościnnością”, na to, co się wokół niego działo, i kiedy po jakimś czasie przyszedł do niego oficer, kapitan van der Klotz odpowiedzialny za tę sprawę, usłyszał od niego coś, czego nigdy już nie zapomni:

- Wie pan, co, panie doktorze, tak swoją drogą, gdyby nie pan, nigdy pewnie byśmy tego drania nie przyskrzynili. To cwana bestia. Mistrz ukrywania się, twardy gracz. Kiwał nas jak chciał. Dał nam poczuć, co to bezsilność. Dla prawdziwego gliny to najgorsze upokorzenie. Niech pan pomyśli: jeśli to pan, a nie on, zostałby dziś aresztowany, zamknęlibyśmy nie tego człowieka. Ten gość znów wymknąłby się nam z rąk, jak to robił przez ostatnie lata. Znów przegralibyśmy. Ta pomyłka to coś genialnego! Taki przypadek, który zdarza się raz na milion razy i raz na tysiąc lat! Nie chcę nawet myśleć, co by było, gdyby wsiadł pan do właściwego pociągu. Coś niebywałego! I to, że udało się panu zachować pomimo wszystko zimną krew i przekonać moich chłopców. Oni nie kupiliby żadnej lipy. To fachowcy. Pan jest dziś bohaterem. To była tak naprawdę pana akcja, panie Billy – tylko pana. Jak żyję, czegoś takiego nie widziałem, da pan wiarę?

Kiedy następnego dnia dotarł w końcu szczęśliwie na swoje szkolenie do nadmorskiej miejscowości, w każdym kiosku, w każdej gazecie, i lokalnej, i ogólnokrajowej, mógł, obok wzmianki o zatrzymaniu groźnego przestępcy, poszukiwanego w wielu krajach Europy, obok jego zdjęcia ujrzeć także własne, pod którym napisano, że gdyby nie on, Billy Twomp, lekarz medycyny i jego pojawienie się w pociągu i potem w owym nizinnym miasteczku, zupełnie przez przypadek, nigdy nie doszłoby do ujęcia przebiegłego, nieuchwytnego przestępcy.

Nigdy nawet przez krótką chwilę nie marzył, że ktoś nazwie go kiedyś bohaterem i będzie mówił to śmiertelnie poważnie, nie mając na myśli kpiny.

Śmiem twierdzić, że jest coś z prawdy w powiedzonku, że „*nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło*”, tkwi w nim pewna, głęboka mądrość, z którą nie sposób się nie zgodzić, i przykład naszego niezwykłego doktora udowodnił tę teorię w całej swej rozciągłości.

Wszak nie pisarze, lecz samo życie, pisze najciekawsze, najbardziej zaskakujące scenariusze...

- To się nazywa *POTĘGA SKLEROZY!* Jakoś wcale mnie to nie martwi. Jakoś nie jest mi z tym źle. Czasem tylko myli się to i owo, ale... przecież na ogół wszystko jest pod kontrolą, nieprawdaż? - rzekł potem do siebie któregoś dnia, śmiejąc się pod nosem, jak z pierwszorzędnego dowcipu. – Kto by pomyślał, że coś podobnego może wyjść komuś na dobre. Powinni o tym nakręcić kiedyś film. Byłoby to coś, byłoby to naprawdę coś.

4 stycznia 2018

stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

mike17, dodano 10.01.2018 11:03

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.